

Seria powieści duchowo-egzystencjalnych
„Chiron w Rybach”

CZEŚĆ TRZECIA

EZO

ONEIR

Kroniki multiwersum

Światy równoległe, legendy mieszające się
z rzeczywistością oraz próba odpowiedzi
na odwieczne pytania ludzkości.

transformacja cienia
duchowe wybaczenie
alternatywne ścieżki losu

Tytuł: Kroniki multiwersum
Copyright: Ezo Oneir, 2019
Korekta: Agnieszka Skórzewska

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment tekstu nie może być publikowany ani reprodukowany bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki i zdjęcia: Ezo Oneir

WYDANIE IV, zmienione (2025)

ISBN: 978-83-67459-32-7

Buddyści mówią, że cierpienie jest opcją
i mają rację,
więc dlaczego czasami w nim jesteśmy
i do niego wracamy?
Myślę, że intensywność tej emocji
jest odzwierciedleniem miłości i pamięci o tym,
jacy byliśmy kochając tego,
kogo już nie ma fizycznie obok nas.
Chcę bardzo pamiętać i tamtą miłość, i tamtą siebie.
Nawet jeśli zaboli.

Justyna Niebieszczańska

Justynie.

Dziękuję, że oswoiłaś mnie z doświadczeniem
straty i naprowadziłaś na radykalne wybaczenie.

Strata jest biała.
Jest jak biała kartka papieru.

Każdy w swoim czasie może ją zapisać.

Nad żałobą można pracować,
iść przez nią, aby wyjść z niej,
zaakceptować, zmagać się... (...).

Ze stratą po prostu się **pozostaje**.
Staje się częścią ciebie
i nie można jej sobie
odrąbać, wydłubać, wypalić.

Można ją jednak **opowiedzieć**,
bo strata jest jak biała kartka papieru.

Justyna Niebieszczańska,

I o tym właśnie jest ta opowieść...

1

Upadek Aniola

Od jakiegoś czasu wyrzuty sumienia sprawiały, że nie mogłem tak dalej żyć. Jak do tego doszło? Dlaczego chwytając każdą możliwość doświadczania, człowiek na końcu odkrywa, że to był jednak błąd? Że należało żyć uczciwie, niezachłannie, zgodnie z przyjętą normą. Czy wtedy uniknąłbym udręki, czy wręcz przeciwnie? A może to wcale nie tak? Może nasza interpretacja zdarzeń z punktu widzenia dobra i zła jest błędna? Może istnieje coś bardziej relatywnego i pozwalającego na większe otwarcie pola doświadczeń? Te pytania będę sobie zadawał codziennie, aż do śmierci. I nigdy nie uzyskam na nie satysfakcjonującej odpowiedzi. Bo to, co najbardziej do mnie przemawia, będzie łechtać ego ale ranić serce. Zdaje się, że wszystko rozwiąże się dopiero na poziomie duszy, bo w ludzkim ciele nie jestem w stanie złapać do tego dystansu.

Żyłem w dwóch światach, podzielony między kobietę, z którą dzieliłem życie, i kobietę, którą pokochałem duszą. Lidia była moją żoną, a Maria – miłością mojego życia. Obie mnie kochały, obie były dla mnie wszystkim, a ja byłem tym, który nie potrafił wybrać jednej rzeczywistości.

Na poziomie ludzkim wybaczenie jest transakcją. Mówisz do tej osoby, lub najczęściej do jej wyobrażenia (bo zwykle wybaczymy komuś, kto tego wcale nie oczekuje): „Zraniłeś mnie, ale odpuszczam ci, bo tak trzeba. Bo inaczej gorycz będzie mnie pożerać od środka”. W tym świecie byłem mężem, który próbował wybaczyć samemu sobie. Lidia nie była winna – była ciepła, dobra i opiekuńcza, kochała mnie tak, jak nikt inny. Kiedy zaczęła nosić nasze dziecko pod sercem, powinienem był stać się jej ostoją, ale zamiast tego moje serce błędziło gdzie indziej. Maria pojawiła się w moim życiu jak płomień, który spalał wszystko, co znałem.

Żyłem na dwa światy. To wcale nie metafora. Jakimś cudem wszechświat pozwolił mi, aby przyszło do mnie życie w innym świecie – tym, w którym była Maria. Z nią wszystko było inne. Nie było ciężaru, nie było przymusu. Była miłością, która nie oczekiwała

niczego w zamian, a jednocześnie dawała wszystko. I to właśnie od niej nauczyłem się, czym jest wybaczenie na poziomie duchowym. To nie była transakcja, nie było ultimatum, bym był dla niej na wyłączność, bym „się poprawił” albo „odkupił swoje winy”. To było zrozumienie, że nikt mnie nigdy nie skrzywdził, poza mną samym. Nikt nie nałożył na mnie takiego brzemienia za tą całą sytuację, jak ja sam na siebie. Że Lidia, w swojej miłości i oddaniu – była moim lustrem. Pokazała mi, czym jest prawdziwa miłość, a ja nie umiałem jej przyjąć, bo bałem się, że nie jestem jej wart. A Maria? Maria była nauczycielką innego rodzaju – przypomniła mi, jak być sobą.

Walczę ze sobą od lat. Właściwie, od dnia, w którym zrozumiałem, że mogę kochać dwie kobiety jednocześnie i jednocześnie je ranić. Gdy myślałem o Lidii, czułem się jak potwór. Była dobra, czuła, cierpliwa. Nie zasłużyła na to, co jej robiłem. Kochała mnie całą sobą – bezwarunkowo, niezależnie od wszystkiego. Nawet gdy się oddalałem, zostawiając ją samą z nowym życiem, które rosło w jej ciele, nawet kiedy wracałem wiele dni później. Wiedziała. Wiedziała, zanim się przyznałem, wiedziała z moich spojrzeń, z ciszy, z unikania. Ale nie powiedziała nic. Zamiast tego kładła mi rękę na dłoni i mówiła: „Zostań.”

I zostawałem. Próbowalem. Przekonywałem siebie, że Maria była tylko kaprysem, że przy niej czułem coś, co było mi potrzebne, ale co w końcu wypali się, jak wszystko inne. Że w końcu się uspokoję. Ale im bardziej próbowałem wypłenić Marię z głowy, tym mocniej wrastała w moje myśli.

Były noce, kiedy siedziałem obok Lidii i gapilem się na jej brzuch, na to maleństwo, które rosło w jej wnętrzu, na jej drobne dłonie ułożone na pępku, jakby chroniła naszą przyszłość, rodzinę i miłość. Miałem na końcu języka tysiące słów, które powinienem był wtedy powiedzieć – „przepraszam” i „zawiodłem” były tymi najłatwiejszymi. Ale nie wydobyłem z siebie ani jednego. Bo gdybym przyznał się do wszystkiego, musiałbym wybrać.

A ja nie umiałem.

Nie byłem gotów zostawić Lidii. Nie tylko dlatego, że nosiła moje dziecko. Nie tylko dlatego, że się mną opiekowała, że znała mnie jak nikt inny, z moimi wadami, moimi lękami i moim milczeniem. Ale dlatego, że część mnie wciąż ją kochała. Nie była Marią – ale była moim domem, moim ciepłem, moim poczuciem przynależności. Miałem wybór: zostać z kobietą, która mnie kocha i z którą łączyło mnie wszystko, albo

odejść do kobiety, przy której po raz pierwszy od dawna czułem, że oddycham swobodnie.

I wtedy zrozumiałem dlaczego tak długo walczyłem ze sobą. Bo świat, w którym żyłem, nie pozwalał mi kochać obu. Bo moje sumienie zostało wychowane w poczuciu winy, a nie w zrozumieniu. Bo widziałem swoje życie jako wybór między dwiema kobietami – jakbym mógł mieć tylko jedną prawdę, a druga musiała umrzeć.

Być może cała ta historia wydarzyła się właśnie po to, bym nauczył się pokory wobec miłości. Bym zrozumiał, że miłość nie jest czymś, co możemy zaplanować, osiąść, przypisać do jednej osoby i wcisnąć w ramy przysięgi. Może miłość jest czymś większym od ludzkich umów i naszych małych zrad. Może nie da się jej zmieścić w jednym domu, w jednej kobiecie, w jednej roli. A może to wszystko tylko kłamstwo, które sobie opowiadam, żeby łatwiej było mi żyć z tym, co zrobiłem.

Na poziomie duchowym nie było winnych. Nie było krzywdzicieli ani ofiar. Byliśmy duszami, które zgodziły się odegrać dla siebie nawzajem pewne role, abyśmy mogli wzrastać. Wcześniej nie potrafiłem tego

pojąć. Tkwiłem w więzieniu własnych przekonań, próbując zrozumieć, kto zawinił, kto powinien odpokutować, kto powinien otrzymać przebaczenie. Patrzyłem na swoje życie jak na pasmo błędów, jak na zrujnowany krajobraz, po którym wciąż błędzę, szukając czegoś, czego nie umiałem nazwać.

Ale potem przyszło zrozumienie. Może nie od razu, może jeszcze długo walczyłem z tą myślą, nie chcąc przyjąć, że wszystko miało sens – nawet to, co wydawało mi się najokrutniejsze. Może dusze naprawdę umawiają się na pewne lekcje, zanim jeszcze przyjdą na ten świat. Może Lidia wybrała mnie, bym ją zdradził, by poczuła na własnej skórze coś, co musiała przeżyć, a ja wybrałem ją, by nauczyć się, czym jest lojalność i co oznacza jej złamanie. Może Maria przyszła do mnie nie po to, by mnie ocalić, ale bym przez nią musiał spojrzeć na siebie w lustrze i zadać sobie pytanie, którego bałem się całe życie: kim jestem, kiedy nikt mnie nie ocenia?

Nie chciałem wierzyć w tę myśl. Przez długi czas była dla mnie wygodnym usprawiedliwieniem. Czymś, co mogłem sobie powiedzieć, by nie czuć ciężaru własnych wyborów. Ale kiedy Maria położyła mi dłoń na piersi i powiedziała: „Wszystko było tak, jak miało

być”, i po raz pierwszy poczułem ulgę. Nie dlatego, że dostałem rozgrzeszenie, nie dlatego, że ktoś odjął mi ten ciężar – ale dlatego, że zrozumiałem, że to nigdy nie był ciężar. Tylko doświadczenie. A doświadczenia nie są złe. Są po prostu lekcjami.

Ludzkie wybaczenie jest pełne warunków. Oznajmiamy: „Wybaczę ci, jeśli więcej tego nie zrobisz”. „Wybaczam, ale pamiętam”. Wszystko jest kalkulacją, umową, która zawsze zawiera jakiś ukryty rachunek.

Dusza nie zna rachunków. Dusza nie trzyma urazy. Dusza doświadcza, czuje, chłonie i żyje. I kiedy patrzyłem na swoje życie nie jak na zbiór dobrych i złych decyzji, ale jak na misternie utkaną sieć lekcji, w której każdy ból i każda chwila radości miały swoje miejsce, zrozumiałem, że nigdy nie było winy.

Wina to ludzki wymysł, to struktura, którą tworzymy, by poukładać sobie świat, by wskazać palcem, rozliczyć. A dusza nie zna winy. Dusza jest jak rzeka, która płynie, nie pytając, czy powinna skrócić w prawo, czy w lewo. Po prostu płynie tam, gdzie ma płynąć.

Wybaczenie duchowe jest jak spojrzenie na życie z góry, jak patrzenie na mapę, na której każda ścieżka prowadziła dokładnie tam, gdzie miała prowadzić. To,

co wydawało się ślepym zaułkiem, było tylko miejscem odpoczynku. To, co wydawało się pomyłką, było tylko zmianą trasy. Wszystko, absolutnie wszystko, było konieczne.

Nie było przypadków. Było tylko to, co miało się wydarzyć, bym w końcu zrozumiał. I wybaczył. Nie Li-dii, nie Marii, nie sobie – ale samej idei, że kiedykolwiek byłem ofiarą czegośkolwiek. Bo nigdy nie byłem. Byłem tylko duszą, która uczyła się siebie.

Ale dosyć już mojego biadolenia. Pewnie macie już osąd mojej osoby i zastanawiacie się, co tak naprawdę się wydarzyło. Wszystko wam opowiem, proszę jedynie o to, abyście przyjęli tę historię z otwartością serca. Bo w gruncie rzeczy jest ona o miłości.

Annowo, lipiec 2018

Tego popołudnia zastałem Lidię w naszej ciemnej sypialni. Nocna lampka rozświetlała mrok, jaki dawały szczelnie zamknięte okiennice. Pokój pachniał lekko zastałą pościelą, a w powietrzu unosiła się nuta lawendy, której zawsze używała do aromaterapii. Pościel była wciąż rzucona w nieładzie po nocy, a na podłodze leżała para kapci, jakby porzucona w pośpiesznym geście. Ten widok bardzo mnie zaniepokoił. Moja żona była przecież perfekcjonistką. Pierwszą rzeczą, jaką robiła po przebudzeniu, było wpuszczenie słońca do wnętrza pokoju i otworzenie na oścież okien. Postępowała tak wbrew moim protestom nawet w zimie, argumentując, że świeże powietrze jest lepsze niż najcieplejszy koc.

Tego dnia musiała jednak siedzieć po ciemku kilka godzin. Co mogło ją tak wytrącić z równowagi, że nie była w stanie podjąć żadnej czynności?

W następnej chwili zauważyłem, że trzyma w rękach figurkę anioła. Poznałem ją od razu. To jedyna, jaka pozostała jej z całej kolekcji. Miała delikatne, niemal koronkowe skrzydła, które zawsze budziły we mnie podziw dla talentu artysty, który je ulepił.

Gdy przyjrzałem się jednak uważniej glinianym skrzydłom, zmarszczyłem czoło. Mógłbym przysiąc, że anioł spadł kilka dni temu i się ukruszył. Jakim cudem był z powrotem bez skazy? Nie chciałem się przyznać nawet przed sobą, że doskonale znam odpowiedź na to pytanie.

– Lidio? – zapytałem cicho, siadając powoli na brzegu łóżka. Moje spojrzenie zatrzymało się na jej dłoniach gładzących figurkę. Poruszyłem się ostrożnie, jakbym bał się wywołać gwałtowniejszą reakcję.

Moja żona pokręciła głową, jakby próbowała otrząsnąć się z koszmaru. Wyszeptała drżącym głosem:

– Zgadzały ci się wszystkie przedmioty dzisiaj, kochanie? – Przełknąłem ślinę, czując, jak pytanie Liddi zasiewa niepokój w moim sercu. Podrapałem się po karku, zyskując chwilę na zastanowienie. Jej słowa wzbudziły we mnie falę niepokoju, której nie mogłem zignorować.

– Co konkretnie masz na myśli? – zapytałem ostrożnie, ale mój głos zdradzał strach i to, że za wszelką cenę nie chciałem tego znów przeżywać. Usiadłem bliżej niej, wyciągając dłoń, którą położyłem delikatnie na jej ramieniu. Jej ciało wydawało się spięte.

– Pamiętasz, jak po zrobieniu remontu obudziłeś się, a ściany były nadal niepomalowane? – zapytała, wpatrując się w anioła z dziwnym wyrazem twarzy. Jej głos drżał, ale brzmiał tak, jakby próbowała się uspokoić, skupiając się na tym, co chce mi przekazać.

Zbladłem. Jej słowa dotknęły we mnie jakiejś dawno uśpionej struny niepokoju. Przysiadłem ostrożnie bliżej, pochylając się lekko w jej stronę. Wyciągnąłem rękę, by dotknąć jej dłoni.

Najwyraźniej to się znowu stało. Przeskoczyliśmy do kolejnego wariantu rzeczywistości. Najbardziej przerażające było dla mnie w tej sytuacji to, że nie mogliśmy tego kontrolować. Dostawaliśmy znaki, kiedy przejście wykazuje zwiększoną aktywność. Znakami zwiastującymi to wydarzenie były między innymi ogień wydostający się spod ziemi w Wąwozie Wędrowca i wypływające na powierzchnię jeziora Bagno ugotowane ryby. Miejscowe legendy od stuleci zawierały w sobie tajemnicze wskazówki i ostrzeżenia.

Już w latach 60. XX wieku zaczęły pojawiać się w okolicach łowcy wrażeń, którzy nazywali siebie astrologami. To oni zwrócili uwagę mieszkańców na to, że opowieści o tym miejscu nie są jedynie historyjkami przekazywanymi przy ognisku. Wiedziałem to przecież najlepiej.

– Nie sprawdzałem, skarbie. Mogę się uważniej rozejrzeć. A tobie coś zginęło? – Pocieszałem ją tonem głosu. Nie dawałem po sobie poznać, jak bardzo się zaniepokoiłem jej pytaniem. Uśmiechem próbowałem dodać jej otuchy.

– Jestem pewna, że dałam tego anioła jakiejś kobiecie. Mam deja vu. – Jej dłoń zadrżała, gdy przygarnęła figurkę bliżej piersi. – Pojawiają mi się w głowie nasze rozmowy. Jadała u nas w domu i chyba nawet spała. Pamiętam ulgę, kiedy pomyślałam, że figurka będzie u niej bezpieczna i nie zniszczy się jak inne. To przecież jedyna pamiątka po Igorze.

W oczach Lidii stanęły łzy. Objąłem ją czule i pocałowałem w czoło.

Tak, teraz widziałem to wyraźnie. Anioł był bez skazy. W oczach Lidii stanęły łzy. Objąłem ją czule i pocałowałem w czoło. W jej ramionach wyczuwałem kru-

chość, jakby dotyk mógł rozwiązać wszystkie zmartwienia, ale też nasilić jej ból.

– Igor zawsze będzie z nami, kochanie. – Mówiłem cicho, starając się, by moje słowa brzmiały jak zapewnienie. Delikatnie pogłaskałem ją po włosach, widząc, jak zamyka oczy i oddycha głęboko. – Wiemy o tym oboje. Tam, gdzie jest teraz, prawdopodobnie jest szczęśliwy. Najwyraźniej musiał to zrobić. Poza tym mam wrażenie, że skrywał przed nami tajemnicę, która sprawiała, że jego życie w tym wymiarze zakończyło się, zanim się jeszcze na dobre zaczęło. Czulaś to zawsze kochanie, prawda?

Lidia uniosła głowę, a jej oczy, teraz błyszczące od łez, szukały moich. Zaciśnęła wargi, jakby walczyła ze sobą, zanim odpowiedziała.

– Tak, wiem. Myślę o tym codziennie – powiedziała szeptem, niemal niesłyszalnie. Jej dłonie, wciąż trzymające anioła, lekko się trzęsły. Palce głaskały zimną porcelanę, jakby chciała z niej wyczytać odpowiedzi. – Ale jestem pewna, że tego anioła naprawdę komuś podarowałam. Była taka smutna. Miała rude włosy, łagodną twarz i podświadomie wiedziałam, że kochała naszego syna, chociaż nigdy

o tym nie rozmawialiśmy. – Lidia spuściła wzrok, jej głos zadrżał na ostatnich słowach. – Zupełnie, jakby trafiła tutaj podążając za jego energią. Przecież wprowadzając się do siedliska Kasi nie wiedziała, że sąsiadami okażą się rodzice jej ukochanego. Znała go zanim zniknął i tak jak ja, nie umiała się z tym pogodzić. Pamiętasz ją, prawda? Nie wymyśliłam sobie przecież tego, że istniała. Bohdan, powiedz mi, że ją pamiętasz...

Pochyliłem się bliżej, kładąc dłoń na jej ramieniu. Jej skóra była chłodna, mimo ciepła panującego w pokoju. Nie powiedziałem jej, co się wydarzyło. Oczywiście, że pamiętałem Ewę doskonale. Byłem ciekaw, czy wróci z przestrzeni, gdzie obecnie przebywa.

– Przepraszam kochanie, ale naprawdę nikogo takiego nie pamiętam. Czy istnieje możliwość, że po prostu ci się to przyśniło? Pamiętasz coś jeszcze? – zapytałem, choć wiedziałem, że każde kolejne wspomnienie mogłoby wywołać w niej więcej cierpienia. Nie odrywałem wzroku od jej twarzy, a moje słowa wypływały z troski, nie z ciekawości.

– Nie... – odparła po chwili, kręcąc głową. W jej oczach pojawiła się pustka, jakby szukała odpowiedzi,

których nie było. Zamknęła anioła w dłoniach, przytulając go do piersi. Jej oddech stał się płytki, najwyraźniej walczyła z napływającym uczuciem paniki.

W momencie, w którym wspomniałem o Igorze, poczułem, jakbym mówił o sobie. Łatwo mi przyszło usprawiedliwianie syna po tym, gdy tamten postanowił zniknąć z tego życia. Ale przecież Lidia o niczym nie wie. Nie ma pojęcia o wejściu przy Wąwozie Wędrowca. Od kiedy pamiętam, mam przez to wyrzuty sumienia, ale nigdy nie mogłem powiedzieć jej prawdy. Minęło zbyt wiele lat. To, co by usłyszała, zniszczyłoby ją.

– Oderwę cię na moment od tego tematu, kochanie – powiedziałem, starając się, by moje słowa miały lekki, neutralny ton. Pochyliłem się i ucałowałem jej skroń, czując, jak jej napięcie odrobinę słabnie. – Kasia, nasza sąsiadka z siedliska obok, właśnie przyjechała. Gdy ją mijałem, miała ze sobą sporo walizek. Prawdopodobnie zabawi tutaj na całe lato. Pójdę się przywitać i zaproponuję jej pomoc. Może zaprosimy ją na obiad? Dawno nie mieliśmy gości.

Lidia spojrzała na mnie, jakby moje słowa dotarły do niej z oddali. Jej palce zacisnęły się mocniej na aniele,

a jej wzrok nagle stał się przenikliwy.

– Ktoś musiał umrzeć. Ona umarła – wyszeptała. Zamarłem, starając się zrozumieć sens tych słów.

– Kasia? – zapytałem zdezorientowany, pochylając się lekko w jej stronę. Moje brwi zmarszczyły się w geście niepokoju.

– Nie. Ta kobieta, której podarowałam anioła – odpowiedziała, spuszczając wzrok. – Chociaż w zasadzie nie wiem. Jestem skołowana. Tak, obiad to dobry pomysł.

Zmarszczyła czoło, jakby odganiała jakąś niewidzialną wizję, co chwila poprawiając sukienkę na kolanach.

– Kochanie... – Przerwałem ciszę, ale zaraz zamilkłem, nie znajdując właściwych słów. W pokoju zapadła cisza, przerywana jedynie tykaniem zegara.

Moja żona się nie myliła. Pamiętała jedynie rudowłosą postać i nawet nie była pewna, czy to nie sen. Tymczasem dziewczyna miała na imię Ewa i istniała naprawdę. Pamiętałem ją. Myślałem, że nie wiedziała kim jestem do samego końca, ale słowa Lidii o tym, że kochała naszego Igora kazały mi zmierzyć się z myślą, że jednak się myliłem.

Pamiętam, jak zapukałem do jej drzwi, aby zaoferować pomoc przy porządkowaniu posiadłości. Była eteryczna i słaba. Skrzywdzona przez ludzi, którzy swoimi słowami i czynami pozbawili ją żywotności.

Bez woli do życia – snuła się, zagubiona w obcej przestrzeni. Ostatkami sił starała się narodzić na nowo. Walczyła o to, aby poczuć się lepiej. Leczyła jak mogła głębokie rany i rozczarowanie. Od początku wiedziałem, że jej się to nie uda. Bez woli do życia błędziła w przestrzeni, która choć znajoma, zdawała się dla niej zupełnie obca. Jej dusza nie była jednak zagubiona – nigdy nie mogła być, bo dusza zawsze wie, gdzie jest i dokąd zmierza. To tylko jej ludzka świadomość, uwięziona w ciele i zamknięta w klatce własnego bólu, próbowała przekonać ją, że błądzi. Z zewnątrz wyglądało to tak, jakby błędziła na oślep, pogrążona w mgle, w ciemności, po omacku szukając drogi powrotnej. Jednak w rzeczywistości szła dokładnie tam, gdzie powinna. To umysł Ewy chciał już zakończyć to wcielenie. Bo stało się coś, co pozostawało poza jego zrozumieniem. Jej ludzkie serce buntowało się jeszcze wolą życia, ale było zbyt słabe. Nie miało skąd czerpać sił. Nawet kiedy się uśmiechała, jej oczy zdradzały niewypowiedziany ból. Był tak silny, że niemal nama-

calny. Otaczał ją woal pragnienia śmierci. Wydawać by się mogło, że jej walka o życie, choć nierówna, daje nadzieję na lepsze jutro.

Była słaba, ale miała apetyt. Podziwiała porcelanowe anioły i chwaliła Lidię za talent kulinarny. Mówiła dużo o sobie, ale nie powiedziała prawie nic o historii, która doprowadziła ją do załamania. Mogliśmy się jedynie domyślać, że ktoś rozsypał w pył jej wiarę, nadzieję i miłość.

Spotkanie z nią uzmysłowiło mi ważną rzecz. Było jak podsumowanie moich własnych doświadczeń. Gdybym nie otworzył w młodości tego portalu, podzieliłbym los Ewy. Umarłbym za życia. Tymczasem wszystko miało swój sens, każda emocja była kluczem do prawdy, którą mieliśmy odkryć. To, co przeżyliśmy, nie było przypadkowe – była to pieczołowicie ułożona mozaika doświadczeń, stworzona przez nasze dusze jeszcze przed tym, zanim staliśmy się ciałami.

Nie wiem, jak to wygląda z ludzkiego punktu widzenia. Czy to, co zrobiłem, było rzeczywiście nie do wybaczenia? Czy to zbrodnia, czy tylko ludzki błąd? A może coś jeszcze innego – coś, co nie mieści się w prostych kategoriach winy i niewinności?

Zbyt wiele schematów i mitów funkcjonuje w naszym świecie. Zbyt wiele prawd, które wmawia się nam od dziecka, byśmy w nie uwierzyli i nigdy nie zadawali pytań. Jako ludzie lubimy mieć pewność, lubimy jasne podziały: to jest dobre, a tamto złe. Ale czy naprawdę jesteśmy tak ograniczeni, że potrafimy postrzegać rzeczywistość tylko na jednej płaszczyźnie? Czy to, co wydaje się nam moralnie naganne, jest takie samo w każdej możliwej rzeczywistości? Czy coś jest złe, tylko dlatego że tak powiedziano nam kiedyś, w dzieciństwie?

Światy równoległe nie należą do żadnej religii. Są poza nią. Może dlatego nikt ich jeszcze nie ogłosił grzesznymi? Jeśli w każdym świecie jesteśmy w pełni sobą, jeśli nie odczuwamy rozdwojenia, tylko istniejemy w każdej z tych rzeczywistości w pełnej świadomości i oddaniu, to gdzie tu zdrada? Gdzie grzech? Przecież życie nie daje nam żadnej gwarancji, że tylko jedna ścieżka jest słuszna.

Pomyśl o tym w ten sposób – ktoś daje ci wybór. Możesz żyć w jednej rzeczywistości i budować jedno życie, kochać jedną kobietę, być jednym człowiekiem, zamkniętym w schematach i ograniczeniach, które narzuca społeczeństwo.

Ale masz też inną możliwość: rozszczepiasz się. Żyjesz na dwie historie równocześnie. Nie jesteś w stanie wybrać, więc nie musisz. Światy się rozdzielają i w każdym z nich jesteś w pełni obecny, w każdym kochasz. Twoje uczucia nie są rozdarte – nie czujesz, że oszukujesz, bo w jednym świecie twoje serce należy do Marii, w drugim – do Lidii.

Czy to moralne?

Czy jesteśmy gotowi zaakceptować, że życie bywa większe, niż zdolni jesteśmy pojąć? Społecznie przyjęło się potępiać to, co nazywamy zdradą. Tak zostaliśmy nauczeni – że jeden człowiek powinien kochać jednego człowieka i tylko jego. Że jeśli odchodzi do innej osoby, oznacza to zdradę, oznacza to krzywdę, oznacza to, że miłość się wypaliła albo że nigdy nie była prawdziwa. Tak mówią książki, tak mówią zasady. Ale czy miłość kiedykolwiek była tak prosta? Czy naprawdę mieści się w ramach, które próbujemy jej narzucić? Wiele osób żyje podwójnym życiem. Ma żonę i kochankę, męża i sekretne romanse. I chociaż większość z nich wie, że to złe, że sprzeczne z przyjętą moralnością, że prowadzi do bólu i cierpienia – nadal to robią. Po cichu, w sekrecie, w cieniu, w ukryciu przed światem. Społeczeństwo takie rzeczy potępia,

a jednak nie jest w stanie ich wyeliminować. To część ludzkiej natury. Bo miłość nie zawsze jest prosta.

Ale założmy na chwilę, że światy się rozgałęziają. Że decyzje, które podejmujemy, nie są jedynymi, jakie istnieją, równocześnie istnieją inne. W jednym świecie wybierasz jedno, w innym coś zupełnie innego. W tym świecie jesteś mężem, w tamtym – kochankiem. Czy wówczas wciąż jesteś winny? Jeśli w każdej z tych rzeczywistości żyjesz z oddaniem i wiernością względem jednej osoby, czy jest coś do potępienia?

Czy można jednocześnie kochać dwie osoby i nie zdradzić żadnej?

Nie było łatwo się z tym pogodzić. Przez lata walczyłem ze sobą, ze swoją duszą, z każdą komórką ciała, która wołała do Marii, ale wciąż kochała Lidię. Nie potrafiłem pogodzić się z myślą, że mogę jednocześnie pragnąć jednej i drugiej, że w każdej znajdować coś innego, ale równie ważnego. Miałem żonę, która była moim domem, latarnią w ciemności. Wiedziałem, że mogę zawsze wrócić do niej, że będę miał gdzie oprzeć głowę. Wspierała mnie, a jej miłość była ciepła, bezpieczna, głęboka. Dawała mi spokój i bezpieczeństwo, ale nie dawała mi... tej iskry.